

Wspomnienie o profesorze Czesławie Bobrowskim, ekonomście, socjaliście, szefie Centralnego Urzędu Planowania w latach czterdziestych, profesorze Uniwersytetu Warszawskiego.

NAJWAŻNIEJSZE, ŻEBY NIE ROZDEPTYWAĆ ŻAB.

Życie zetknęło mnie kilkakrotnie z profesorem Czesławem Bobrowskim i niektóre z tych spotkań miały miejsce przy okazji ważnych momentów naszej historii. O wszystkich chciałbym opowiedzieć w tym wspomnieniu.

Mógł być rok 1965 lub 1966, ostatni rok moich studiów na Wydziale Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Warszawskiego, a może już początek stażu asystenckiego w katedrze profesora Włodzimierza Brusa, którego byłem wychowankiem i magistrantem. Po długim pobycie w Algierii wrócił do Polski profesor Bobrowski i zrobiono z nim spotkanie. Wtedy go zobaczyłem, bardzo przystojnego Pana o twarzy pogodnej i dobrej ukoronowanej bujną, falującą i dobrze już posrebrzoną czupryną. Opowiadał o Algierii, barwnie, impresyjnie, stylem, który nie był dla mnie całkiem nowy, bo wcześniej, przygotowując magisterium, przeczytałem jego książkę o Jugosławii. Nie pamiętam, co mówił, ale utkwiała mi w pamięci umiejętność znajdowania w gąszczu rzeczywistości faktów, które mogły stać się podstawą uogólnień. Dla profesora nic nie było proste i jednoznaczne, każde zjawisko wylaziło z gęstwiny przyczyn. Gdybym miał nadać mu jakiś przydomek od strony metodologii, powiedziałbym, że to największy impresjonista w polskiej ekonomii. Potem była dyskusja i jakaś różnica zdań z Brussem. Wyczułem, że nie bardzo się lubią, że są między nimi jakieś dawne sprawy. Oczywiście były, rok 1948 i tak zwana „dyskusja cupowska”, termin fałszywy, bo to nie była dyskusja. To był sąd, nagonka, peperowska rozprawa z PPS-owskim kierownictwem Centralnego Urzędu Planowania, którym Czesław Bobrowski kierował, a w której udział miał mój ówczesny

mistrz – wtedy na początku lat 60 - tych już ideowy i teoretyczny lider kontestacji stalinizmu w ekonomii.

Dwa lata później był marzec 1968 roku. Od pewnego czasu pracowałem w Ursusie, jako „starszy ekonomista”, skierowany nakazem pracy, by wśród klasy robotniczej naprawić sobie świadomość. Psuła mi się od 1963 roku, od powstania Klubu Politycznego na UW, założonego przez Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Skończyło się wylaniem z partii – w towarzystwie Antoniego Zambrowskiego, syna Romana – i z Uniwerku. Nie pomogły obrony, między innymi Władysława Baki, wtedy sekretarza partii na Wydziale, z którym wiele lat później, a także z Profesorem, spotkamy się w Komisji Reformy Gospodarczej roku 1980. A z Baką, jeszcze dziewięć lat potem w Sali Świetlikowej URM na posiedzeniach rządu Mazowieckiego, w których jako szef NBP uczestniczył. Ale wróćmy w główny nurt – 10 marca zwinęła mnie bezpieka i wylądowałem w piwnicy pałacu Mostowskich, w towarzystwie Aleksandra Smolara i Stanisława Gomółki, a potem na pół roku w więzieniu na Mokotowie.

Profesor Bobrowski w tym czasie, w odruchu wychowawcy, ale i polityka wdał się w mediacje między strajkującymi na Uniwersytecie studentami i władzami. Studził młode głowy i zabiegał o jakiś kompromis i jak najmniej bolesne dla młodzieży rozwiązanie konfliktu, bo złudzeń, kto wygra mieć nie mógł. To nie była postawa częsta w tamtym czasie wśród profesury Uniwersytetu. Poza wszystkim wymagała odwagi. Przeważała obojętność, pretensje, czasem nawet wrogość wobec zbuntowanych studentów, podszyte strachem i zwykle z motywów przyziemnych. Był nawet taki niesławnej pamięci profesor, który przyłączył się do partyjnych bojówek rozpędzających wiec 8 marca. Profesorowi Bobrowskiemu rozumienie młodzieży i mediacje na dobre nie wyszły, podpadł i znowu na sporo lat zniknął z Uniwersytetu i kraju. Pod koniec lat 70 – tych był z powrotem.

Wiosną 1979 roku Polskie Towarzystwo Socjologiczne zorganizowało konferencję „Socjologiczne i ekonomiczne problemy gospodarki planowej w Polsce”. Wygłosiłem na niej – niemal siłą do tego zmuszony przez Jadwigę Staniszkis – referat o rozwoju sytuacji gospodarczej w latach 70 – tych. W ciągu lata z referatu odtwarzanego z pamięci zrobiła się książka „Po wielkim skoku”, pierwsza kompleksowa analiza polityki ekipy Edwarda Gierka i wywołanego przez nią kryzysu gospodarczego w końcu lat 70 – tych. Maszynopis książki czytał profesor Tadeusz Kowalik, mój kompan z nielegalnego Towarzystwa Kursów Naukowych oraz „Latającego Uniwersytetu”. Pokazał go profesorowi Bobrowskiemu, na którym książka zrobiła wrażenie, chyba nawet duże. Wtedy poznałem Profesora osobiście. Połknąłem z wielkim ukontentowaniem sporo komplementów za „dzieło”, ale i sporo uwag krytycznych, trochę, co do meritum, więcej, co do stylu. Sądziłem, że jest schłodzony, bo stosowałem się do pouczenia profesora Brusa, który czytając sporo lat wcześniej, jedną z pierwszych moich polemik powiedział, że słowo chłodne trafia celniej. Pan Czesław spędził ze mną kilka godzin wskazując miejsca wymagające skorygowania, a także te, w których mnie – bardzo wtedy skłóconego z reżimem – poniosło. Pracowaliśmy w mieszkaniu państwa Bobrowskich na Żoliborzu i wtedy poznałem też wielce szanowną małżonkę Profesora. Po tej pracy książka sporo zyskała i jesienią 1980 roku ukazała się nakładem podziemnej oficyny wydawniczej NOWA. Recenzje do podziemnego wydawnictwa napisał Pan Czesław, a także profesor Stefan Kurowski, „jastrząb” w krytykowaniu systemu gospodarki socjalistycznej. Opinia o „Po wielkim skoku” to był chyba jeden z nielicznych tematów, w którym mieli wspólny pogląd.

W sierpniu 1980 roku znalazłem się w stoczni gdańskiej, jako członek Komisji Ekspertów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, a w kilka miesięcy później, wraz z Ryszardem Bugajem zasiedliśmy, jako obserwatorzy z ramienia NSZZ „Solidarność” w Komisji Reformy Gospodarczej. Zapis w moim dzienniku („Burza nad

Wisłą – dziennik 1980-1981”. Iskry 2002) głosi, że było to 7 listopada 1980 roku o godzinie jedenastej, a przy wejściu do Urzędu Rady Ministrów – wchodziłem tam pierwszy raz w życiu – spotkaliśmy także zmierzającego na posiedzenie Komisji profesora Borowskiego. Kilka dni wcześniej, oczywiście ku memu zadowoleniu dowiedziałem się od Cezarego Józefiaka, także członka Komisji, obecnego na inauguracyjnym zebraniu, że Profesor przechadzał się po Sali z podziemnym wydaniem „Po wielkim skoku”, a w swym wystąpieniu powiedział, że to najlepsza diagnoza przyczyn ówczesnego kryzysu gospodarczego, wydana właśnie w drugim obiegu.

W końcu listopada 1980 roku znalazłem się wraz z profesorem Borowskim, w Szkole Głównej Planowania i Statystyki (SGPiS, dziś SGH), na spotkaniu, podczas którego Leszek Balcerowicz i zespół, który stworzył i którym kierował, prezentowali koncepcję reformy gospodarczej. Zrobiła wielkie wrażenie na zebranych, była śmiała i świeża, najlepsza, najdalej idąca w kierunku rynkowym, spośród wszystkich koncepcji, jakie się w tych latach pojawiły. „Obecny na dyskusji profesor Bobrowski – zapisałem w dzienniku - dał do zrozumienia, że może być wykorzystana przez Komisję Reformy, a Balcerowicz wejść do Komisji. Powiedział też, że projekt trzeba koniecznie opublikować w „Życiu Gospodarczym” (czołowym wówczas tygodniku ekonomicznym), a w wersji popularnej jeszcze szerzej”. Nie wiem czy Balcerowicz do Komisji wszedł, ona sama niewiele raczej wzięła z pomysłów Zespołu przyszłego wielkiego reformatora. Koncepcję zaadoptowała natomiast Sieć Zakładów Wiodących NSZZ „Solidarność” i legła ona u podstaw reformatorskich projektów, do ustaw włącznie, opracowywanych pod egidą „Sieci” w drugiej połowie roku 1981. Nie wiem, czy tamta dyskusja to było pierwsze spotkanie Profesora z Balcerowiczem, czy nie, sam Balcerowicz był wtedy osobą mało znaną. Gdy dziewięć lat później przystępował do realizacji drugiej koncepcji reform robionej przez rząd Mazowieckiego pod jego ręką i

znacznie dalej idącej niż ta pierwsza, nie miał już za sobą Profesora, dla którego „Plan Balcerowicza” to był przynajmniej jeden most za daleko.

Pan Czesław pojawia się w moim dzienniku jeszcze 27 sierpnia 1981 roku – „O godzinie 11.00 w Komisji Planowania u profesora Borowskiego (szefa zespołu ekspertów Rady Ministrów) zorganizowane przez niego zebranie publicystów o prognozach gospodarczych na najbliższy czas. Wśród obecnych: Zdzisław Sadowski, Stanisław Albinowski, Aleksander Paszyński i inni. Albinowski mówi, że przeszkodą w walce z kryzysem jest inercja władz i sprzeciw załóg przeciw redukcjom. Replikuję, że nikt ich nie pytał o zdania. Jest to natychmiast odebrane jako replika „w obronie Solidarności”. A ja wcale nie występuję „partyjnie”, lecz stwierdzam fakt. „Partyjność” jednak coraz bardziej przenika myślenie po obu stronach, na razie jeszcze stołu nie barykad”. Po tym zapisie Profesor znika z dziennika, a wkrótce potem nastął „czas barykad”. Kiedy po wyjściu z obozu internowania, mógł być marzec, lub kwiecień 1982 roku, odwiedziłem Państwa Bobrowskich, rozmawialiśmy o minionym czasie. Zauważyliśmy, że każdy z nas usytuowany po przeciwnej stronie konfliktu miał fałszywy, bardziej diaboliczny, obraz intencji strony drugiej. Nie sądzę, by tego „czasu barykad” dało się wtedy uniknąć, ale po tej rozmowie żałowałem, że moje kontakty z Profesorem w tym burzliwym okresie były rzadkie. Mógłbym przecież powiedzieć mu, doradcy Premiera, w jakich uwarunkowaniach działamy, czego się boimy i dowiedzieć się, co ich trzyma za ręce i czego się oni boją. A baliśmy się prawie tego samego, nie dokładnie tego samego, ale prawie – my upadku tego, co dał Sierpień, ale także katastrofy gospodarczej, zamętu, interwencji sowieckiej. Tak, jak oni.

Na razie jednak był stan wojenny. Trzynastego grudnia nad ranem znalazłem się w bardzo licznym gronie, także znajomych i przyjaciół, w więzieniu na Białołęce. Kiedy minął pierwszy szok rozgorzały w celach dyskusje, co też się może dzieć „na wolności”, co będzie? Były głosy, że „junta” – tak wtedy mówiliśmy - jest bez szans, bo ludzie

stawia bierny opór, a generałowie nie mają koncepcji gospodarczych. To nie były oceny, raczej życzenia. Zniknąwszy z dziennika pojawia się Profesor w książce „Obóz”, którą pisałem prawie w toku wydarzeń, a wydanej w roku 1983 w Londyńskim Aneksie. „Junta - pisałem - nie jest ogołocona z koncepcji gospodarczych. W jej kręgu jest sporo osób znających się na gospodarce, zdolnych rozsądnie podpowiadać (Bobrowski, Baka, Sadowski i inni)”. Sądziłem nawet, że stan wojenny może pomóc ustabilizować gospodarkę i może nawet ruszyć reformę gospodarczą. Przy takim stanie ducha siedzenie w więzieniu wydawało się absurdalne, na dodatek ocieraliśmy się o dramat w domu, groźną chorobę córki, ujawnioną na krótko przed 13 grudnia. Żona sama, z trojgiem dzieci, jednym na pograniczu śmierci, w końcu może też internowana. Pomyślałem o napisaniu do Pana Czesława, żeby mnie z internatu wyciągnął, ale w pierwszym podejściu cofnąłem się widząc w tym rodzaj kapitulacji. „Nie powinienesz – pisałem w dzienniku - tu tkwić bezradnie, lecz starać się wyrwać – to mi podpowiada diabeł pogodzenia. Jak? Napisz do Bobrowskiego, żeby interweniował w twojej sprawie. Jeszcze nie wiem, że za parę dni publicznie poprze zamach, ale nie mam już teraz wątpliwości, że pozostanie współpracownikiem Jaruzelskiego. Jakiś sygnał alarmowy z innej części mej połamanej w te dni psychiki przestrzega przed takim krokiem. Czy to jest oportunizm wobec etosu niezłomności panującego w moim środowisku, czy presja normy moralnej, tego nie potrafię rozsupłać, ale mu ulegam”. Kilka dni później pokusa wróciła jeszcze silniej. Zapytałem kolegów z celi, co sądzą o moim pomysle. „Jak możesz wyjść stąd z twarzą, to wykorzystaj to”. Minie jeszcze trochę czasu i napiszę list, bez prośby o interwencję, a tylko o zorientowanie się, co w domu i co z dziećmi. Potem przez jakiś czas miałem moralnego kaca, że – też cytuję z „Obozu” - „nie powinienem prosić o nic człowieka z tamtej strony, nawet tak prawego jak profesor Bobrowski. Trzynasty Grudnia zbudował barykadę”. Nie prosiłem o interwencję, ale chciałem jej. Nie zawiodłem się, zresztą prawie nie miałem wątpliwości. Wyszedłem z

obożu internowania w lutym 1982 r.

W obozach toczyły się burzliwe dyskusje, czy korzystać z możliwości emigracji stworzonej przez władze. Przez głowę mi to nie przychodziło, byłem przeciw. Ale po powrocie do domu żona ciężko doświadczona samotnym towarzyszeniem córce w walce z chorobą i nękana przez „bezpiekę” postawiła ultimatum – wyjeżdżasz z Dorotą, albo ja skończę w domu obłąkanych. Sprawa była jasna: wyjeżdżamy. Wkrótce potem odwiedziłem państwa Bobrowskich, żeby się pokazać i podziękować za pomoc. Na pewno rozmawialiśmy z Profesorem o tym, co się stało i co się stanie, ale poza jakimiś nikłymi echemi, kto wie czy nie zawodnymi, niczego nie zapamiętałem, no może ogólne wrażenie, że większych koncesji wobec rozbitego ruchu nie będzie, a ciągle trwały nadzieje. Decyzję wyjazdu z córką Pan Czesław pochwalił i obiecał pomoc, jeśli by nam odmówiono paszportów. Odmówiono, a ja skorzystałem z oferty. Kilka dni po moim telefonie do Profesora, późnym już wieczorem zapukał do drzwi urzędnik z centralnego Biura Paszportowego, że składam zażalenie, oni dostają burę i to z gabinetu Premiera, a nie mają nawet mojego podania i muszą mnie po nocy szukać, na ślepo, po całym dużym Osiedlu. Wyjaśniłem, że podania leżą na komendzie dzielnicowej MO i w dwa dni później dostaliśmy paszporty, w obie strony, co skrupulatnie sprawdziłem, a ostatniego sierpnia 1982 wyjechałem z córką do Zachodniego Berlina. Pierwsze echo mojego wyjazdu nie było dla Profesora miłe. Po tygodniu pobytu w Berlinie przefrunęliśmy nad Murem Berlińskim z inicjatywy i na koszt „Der Spiegel”. W wywiadzie, który ze mną przeprowadzili, raczej wyważonym z mojej strony, właściwie wcisnęli mi ostatnie zdanie, że „po 13 grudnia społeczeństwo nauczyło się wiele, a generałowie nic”. Od początku mnie ono uwierało, bo było sloganem, nie wiadomo czy prawdziwym, czy nie. Ale oni potrzebowali jakiegoś sloganu na koniec, a ja z chorą córką i 400 dolarami w kieszeni, byłem w słabej wobec nich pozycji przetargowej. Musiałem mieć honorarium za ten wywiad i uznałem,

że ostatnie zdanie jest ceną do przyjęcia. Usłudni położyli generałowi Jaruzelskiemu tłumaczenie na biurku i na pewno nie było to przyjemne dla Profesora, bez względu na to czy spotkał się z jakąś wymówką, czy nie. W czasie pobytu we Francji państwo Bobrowscy odwiedzili nas w podparyskim Sartrouville, gdzie zamieszkivaliśmy. Pan Czesław, który pokładał nadzieje, jak i ja w obozie internowania, że stan wojenny ruszy sprawy reformy, był zawiedziony, także na generale Jaruzelskim. Ciągłe pełen szacunku dla niego uważał, że nie rozumie i nie docenia wagi reformy gospodarczej, że bagażem jest uformowanie przez dziesięciolecia w establishmencie partyjnym.

W wolnej Polsce moje kontakty z Profesorem były rzadkie. Wydarzenia, napewno gospodarcze, a może i polityczne biegly innym torem niż sobie wyobrażał i niż sobie życzył, a ja byłem nie tylko ich zwolennikiem, ale na samym początku jednym z tych, którzy z pełnym przekonaniem na tę drogę je skierowali. Pamiętam jedną z chyba ostatnich rozmów, w mieszkaniu państwa Bobrowskich. Wyczuwałem w tonie Profesora żal, że wszystko się tak, a nie inaczej potoczyło i chyba rodzaj zawodu, może nawet i do mnie. Profesor nie był zwolennikiem „Planu Balcerowicza”, terapii szokowej i chyba także pełnego odstawienia od władzy post pezetpeerowskiej lewicy. Wyobrażał sobie, że przemiany będą wolniejsze, bardziej ewolucyjne, oparte na kompromisie i współdziałaniu między ruchem „Solidarności”, a tymi siłami, które po stronie rządowej zasiadły przy „Okrągłym Stole”. Mam wrażenie, że w jego pragnieniach rok 1989, w innej oczywiście sytuacji i wewnątrz kraju i na świecie, powinien być czymś na kształt powrotu do pierwszych lat powojennych, gdy chodzi o kształt gospodarki. Sądzę, że kiedy kończył obrady „Okrągły Stół” Profesor miał nadzieję, że rysuje się szansa zrealizowania wizji gospodarki trójsektorowej, ze znacznie większą rolą rynku niż w czasie PRL, ale z ciągle dużą rolą państwa i planowania, że nadchodzi czas demokratycznego socjalizmu rynkowego. A więc wykonania także - i to może z naddatkiem - reformatorskiego programu dużej części środowiska ekonomistów

zarysowanego w roku 1956, również w tezach i pracach Rady Ekonomicznej, której był ważną postacią. Tak się nie stało nigdzie, w żadnym z krajów odchodzących od komunizmu. Moim zdaniem w tym pragnieniu, jeśli je dobrze odczytałem, czy - może lepiej - wyczułem, Profesor nie miał racji. Kompromis „Okrągłego Stołu” był hybrydą, dziwadłem, zdolnym do życia na papierze, nie w świecie realnym. System ograniczonej kierowniczej roli partii nie mógł trwać. Gdyby w sercu imperium zwyciężyła „anty gorbaczowowska” reakcja, został by, tak czy owak, zastąpiony pełną kierowniczą rolą. A kiedy imperium się rozsypało wówczas kierownicza rola musiała w całości wrócić do tego, komu się należy i komu kiedyś została odebrana, do suwerena, do społeczeństwa. Kiedy zaś upadła dyktatura monopartii i wróciła naturalna dla społeczeństw wielość wizji kraju, wówczas nie można było od „gospodarki planowej” odchodzić planowo, po kawałku. Trzeba było martwy system usuwać jak najszybciej, żeby nie blokował sił rynku, czyli wolności nabywcy. Jestem pewien, że droga została wybrana właściwie, a polska transformacja, po piętnastu latach, jest jedną z najbardziej udanych na całej ogromnej połaci globu, która zrzuciła z siebie komunizm.

Profesor Borowski, którego zachowuję w pamięci, jako człowieka uroczego, mądrego i wrażliwego, widział w ekonomii przede wszystkim narzędzia pomagające czynić lepszym życie „żab”. Tak mawiał czasami, ładnie i z dużą życzliwością, o zwykłych ludziach. Dlaczego żab, zapytałem kiedyś? Bo oni są najbardziej narażeni na rozdeptanie przez złą politykę. Więc podtrzymując tę moją bardzo pozytywną ocenę drogi, którą przebyliśmy od roku 1989, zadaję sobie często pytanie, czy tych rozdeptanych żab mogło być mniej. I co zrobić realnie, żeby ich ubywało?

(„Czesław Bobrowski - mistrz ekonomii stosowanej” (red. Małgorzata Kulowa). Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2004. str. 55 - 61)